

Recenzja
Nocna zamieć
Johan Theorin

Nocna zamieć Johana Theorin, to powieść kryminalna o Olandii, która leży na Bałtyku przy wschodnim wybrzeżu Szwecji. / Wiem, że tak jest, bo sprawdziłam na mapie ./

Joakim i Katrine Westin razem z dwójką dzieci przeprowadzają się ze Sztokholmu na Olandię. /Oboje do tej pory uczyli w szkole./ Chcą uciec od ludzkich tłumów i zgiełku wielkiego miasta. Kupują tu stare domostwo. Pasją obojga jest renowacja domów. Takich z prawdziwą duszą. Remontują je, a tym samym przywracają im dawną świetność. Takie same plany mają wobec Aluden. Gospodarstwa zbudowanego ze szczątków rozbitych łodzi. Często łodzi flisaków niemieckich. Nie mają pojęcia, że dom w którym będą mieszkali jest przesiąknięty prawdziwym nieszczęściem.

Drugi z ważniejszy wątków, to przeprowadzka na Olandię policjantki Tildy. Będzie pracowała na posterunku, który dopiero ma powstać. Autor wprowadza jeszcze jeden wątek. Wydaje się, że ten, akurat nic nie znaczy, że od tak, został tu wprowadzony. Trzech młodych mężczyzny ograbia olandzkie domki, opuszczone przez letników, gdy ci, na czas zimowy stąd wyjeżdżają.

Jest wiele pomniejszych wątków; przeszłość poszczególnych bohaterów, skąd ci się wywodzą i kim tak naprawdę są... Theorin pokazuje nam piękno tego miejsca, a zarazem jego ogromny tragizm.

Wszystkie wątki wydają się być ze sobą nie powiązane, ale w rzeczywistości tak nie jest. Z całą pewnością czytając trochę trzeba poczekać, by autor je uporządkował i jako tako z sobą połączył. Gdy Katrine ginie, wszyscy są przekonani, że to był nieszczęśliwy wypadek. Opuścili sobie, bo nie ma śladów przestępstwa, nie ma żadnego punktu zaczepienia...? Jedynie młoda policjantka trochę tu i tam węszy. Z prostej ludzkiej życzliwości czy coś jej daje do myślenia...? A może ktoś podsuwa jej pewne skojarzenia...

W książce trzeba nieustannie doszukiwać się prawdy o tym, co się tamtego dnia wydarzyło. Na strychu, tyle jest wrytych w deskach; imion, nazwisk, dat. Ludzi, którzy od dawna nie żyją.

Joakim nie może się pogodzić z odejściem żony. Mówi o niej w taki sposób, jakby wciąż jeszcze żyła. Mało tego, ciągle mu się wydaje, że wokoło siebie widuje zjawy. Zmarli wyciągają do niego ręce. / Kiedyś byli i tacy, którzy zostali złożeni na Olandii w ofierze. Było to w epoce żelaza. / Teraz ci ze strychu i tamci, dawni, wyciągają do żywych; blade, zimne i przeraźliwe sine łapska. Joakim przypadkiem trafia do pokoju modlitw. To szczególna izba. Pełna wspomnień o ludziach, którzy kiedyś tu mieszkali, a teraz nie żyją. Pozostały po nich; imiona, nazwiska, daty, wspomnienia, krótkie wierszyki i oczywiście duchy...

Na Olandi od zawsze się wierzy, że w każde Boże Narodzenie domy nawiedzane są przez duchy. Panuje tu przekonanie albo wiara, że wychodzą z grobów, by odwiedzić domy w których za życia mieszkali. Ci co odeszli w ciągu ostatniego roku, gromadzą się na własnej Pasterce. Z pokolenia na pokolenie przekazuje się tu legendy i opowieści o zmarłych, o duchach.

W książce jest jeszcze olandzka zima; sroga, ciemna, surowa. Często towarzyszy jej okropna zamieć, a ta, z tego co już wiemy, potrafi być mordercza. Autor opisuje tu surowe krajobrazy. Krótkie dni. Długie noce. W święta oprócz innych potraw jest tu też ryż na mleku.

Zakończenie jest co najmniej zaskakujące. Według mnie, trzeba tę książkę przeczytać. Na koniec mam jedno, ale za to ważne pytanie. Jak ten ktoś, odtąd będzie żył, wiedząc, że być może policja ma go na „widelcu”, że po niego wkrótce przyjdą. Może cwaniaczek ze strachu, sam się przeniesie na tamten świat. Doszlusuje do tamtych, którzy dawno stąd odeszli. Ale to już będzie inna para kaloszy...

Kicińska Władysława

DKK Rawicz